OSTATNI WIERSZOKLETA STARÉJ DATY.

Przedstawiony tu wizerunek mężczyzny czytającego z wyrazem zadowolenia i nieledwo tryumfu, (a czyta zapewne swój utwór), jest płodem jenialnego rysownika, Sokołowskiego, którego przed czterdziestą kilką laty wyrywano sobie po salonach warszawskich, dla tych karykatur, co przecież niemi nie były. Sokołowski bowiem chwytał tylko najprawdziwsze podobieństwo, lecz figurom swoim taki umiał nadawać układ, że najwyborniéj charakteryzował tę śmieszność, lub wadę, jakiéj oryginał podlegał.

Wizerunek ten przedstawia głośnego w swoim czasie oryginała — wierszokletę, Jaxę Marcinkowskiego.

Był to, można powiedziéć ostatni w swoim rodzaju egzemplarz. Szkoła romantyczna zadała ostateczny cios podobnym figurom, że dziś, ktoby chciał takiego Jaxę wynaleść, musiałby jak mammuta szukać w pokładach ziemi.



Jaxa Marcinkowski czytający własne utwory.

Romantyzm, jak wszelka nowość, przyniósł ze sobą wiele śmieszności ciężących raczéj na sumieniu naśladowniczéj zgrai, niż na mistrzach; z tém wszystkiem dał on pewną wstydliwość muzie poezji, że się nie narzucała swojemi płodami, tak, jak zwyczaj był u klasycznych wierszokletów, że byle co spłodziwszy, zaraz szukali słuchaczów, którym gwałtem wbijali w uszy swoje wyroby. Przyczyna téj wstydliwości romantyków pochodziła w znacznéj części z tego, że więcéj zaczęto snuć ze siebie, spowiadać się duszą, a że wszelka spowiedź lubi otaczać się tajemnicą, więc co kto napisał, w tajemnicy raczéj chował, niż głośno trąbił. Klasyk mając do czynienia z gotowemi już, konwencjonalnemi formami, nie miał tego skrupułu; przeciwnie, na wygłoszeniu z pewną dosadą i pompą zakładał powodzenie swego wiersza lub prozy.

Znajdą się wprawdzie i między romantykami nieubłagani nudziarze męczący cię po parę godzin jakim poematem lub fantastyczną dramą, lecz zawsze akt czytania odbywa się za poprzedniém porozumieniem się ze słuchaczem, i to z klauzulą, żeby nie było innych, natrętnych świadków.... Dawnéj daty rymotwórca nie pytał nigdy o pozwolenie, ale napadał, czy w domu, czy na ulicy, czy w kościele, czy w łóżku, wszędzie gdzie spotkał, i dobywając z kieszeni szpargał po szpargale, ciemiężył całemi godzinami, a nierównie bywał strasznieszy jeżeli z pamięci sypnął ci z tysiąc par alexandrynów. Pismo mogło się kiedyś skończyć; kiedy pamięć bywała u niektórych niewyczerpaną.

Przed wielą laty poznałem jeden z takich egzemplarzy w Ż.... miał on śliczną córkę, dowcipną i dosyć zalotną, któréj niepodobna było widzieć, żeby zostać obojętnym widzem. Owoż gdy mię ojciec zaprosił na herbatę, cieszyłem się w duchu, że będę mógł swobodny dać polot strzelistym afektom. Ale jakże się srodze zawiodłem! Przy herbacie mój amfitrion wszczął rzecz o wierszach; wtenczas bowiem nie gadano jeszcze o poezji, a postrzegłszy, że ten przedmiot nie jest mi obcym, brnął coraz daléj, w końcu wyznał, że mam przed sobą autora epopei w dwunastu pieśniach i że manuskrypt złożył Towarzystwu przyjaciół nauk w Warszawie, lecz niewié co się z nim stało.... Podzielałem jego strapienie, ale on nie chcąc mię przyprowadzać do nieutulonego żalu, dalejże recytować z pamięci swoją *Jozefadę*.... Poemat ten opiewał bo-

haterskie czyny księcia Józefa.... Z razu myślałem, że z końcem herbaty, wszystko się skończy i że będę mógł afekta moje zwrócić do panny, ale gdzie tam! Tyran mój coraz mocniéj się rozpalał i już nie ustępy, ale całe deklamował pieśni. Kilka razy na dobre przerywałem mu, wciągając w rozmowę jego córkę, ale ledwo zawiązała się konwersacja, on tymczasem zażył tabaki, odsapnął, i znowu: „jeszcze posłuchaj rejteradę z pod Moskwy.... Berezynę.... Bitwę pod Lipskiem.... ale nim utopił swego bohatéra... panna oddawna zasnęła w rogu sofy, a ja kiwałem się na krześle jak furman przebywający mazowieckie piaski; nie wiem co mię zbudziło, ale kiedym się ocknął poeta skończył widać epopeję, i chodząc wielkiemi krokami po pokoju, deklamował Odę do Boga... Świéce się dopalały, jam spojrzał na zegarek... za kwandrans północ, pochwyciwszy za kapelusz pożegnałem gospodarza, który na odchodnem poczęstował mię jeszcze pół tuzinem epigramatów... moja piękność spała w najlepsze.... O Argusie! pomyślałem odchodząc, cała starożytność mogłaby ci zazdrościć, gdzie ty czuwasz, nie przydadzą się na nic miłosne fortele i sidła!

Ostatni tego rodzaju egzemplarz, pan Jaxa, będąc najczystszéj krwi kawalerem, nie bawił się wprawdzie w Argusa, lecz przybierał rolę niczem nie pozbytego natręta. Pamiętam jak raz, a byłem wtenczas studentem, przyszedł w przedobiedniéj godzinie z wizytą do naszego profesora, a że ten uczył polskiéj literatury, więc tém samém przyszedł do kolegi w Apolinie. Pan profesor i pani profesorowa przyjęli go bardzo grzecznie. Po tyralierce zwykłych komplimentów zaraz zatoczył Marcinkowski swoją literacką baterję i wyjmując z różnych kieszeni zwitek po zwitku, rozpoczął czytanie swoich płodów na całéj linji.... Do naszego pokoju dolatywały wybitnie głoszone rymy, słuchaliśmy jakiś czas cierpliwie, lecz cierpliwość przebrała się, psy głodu szarpiące jelita nasze podobnie jak greckich Eumenid, w niebogłosy dopominały się obiadu, profesor spoglądał na zegar i siedział jak na szpilkach; profesorowa niespokojne rzucała wejrzenie na drzwi prowadzące do naszéj stancji... Nakoniec wzięła stanowczą decyzję i wpadła do kuchni, dorozumieliśmy się że zadysponowała jakiś nadzwyczajny dodatek, w czém zbiegający lokaj do piwnicy, jeszcze nas bardziéj utwierdził. „Pewnie ten gość będzie na obiedzie!“ I nie zawiódł nas instynkt; po chwili zawołano nas do obiadu, i pan Jaxa podając rękę pani profesorowéj, zasiadł w naszém gronie, nie dając się apetytem żadnemu z nas prześcignąć.... Tym sposobem zdobywał on sobie obiady, zadając najoczywistszy fałsz tym, co utrzymują, że poezja chleba nie daje... Jest to tylko osobiste wspomnienie grające nader malutką rolę, w steku anegdot, żartów, mistyfikacji, krotochwil wyprawianych kosztem tego wszędobylskiego wierszoklety, który przez kilka lat służył na cel tak klasycznych jak romantycznych strzałów dowcipu.

Żebym chciał zwyczajem biografów opowiedzieć pochodzenie jego, rok urodzenia, wychowanie, wpływy działające na umysł i serce, nie mógłbym żadną miarą tego uczynić; raz, że to najwięcéj zainteresowałoby dla jego osoby; po drugie, że Jaxa należąc do całkiem minionéj epoki, ma cechę jakby jakiegoś mythu, którego początek gubi się we mgłach. Tyle wiem, że go wydała wołyńska gubernja, co nawet dla potomności przechowało się w jednym wierszu Fr. Morawskiego:

„Pędzi z wołyńskich krajów Marcinkowski [dzielny.“

A i to jeszcze za dokument służy że Koźmian (Kajetan) w pamiętnikach swoich, opowiada poznanie się z nim w Annopolu, w domu księcia Jabłonowskiego. Pan Jaxa był wtenczas w kwiecie młodości, wielki szarmant w gronie dam z któremi jeśli nie wywijał hołubców w mazurku, to im czytywał swoje wiersze; one zaś przez wdzięczność w oczy parskały mu śmiechem. Zazwyczaj przyjechawszy do jakiego domu, gdy wszystkich porządnie rymami wynudził, a często swoją figurą pretensjonalną ubawił, jechał do drugiego i tam jakiś czas przesiedziawszy, przenosił się znowu gdzie indziéj. Domy te uchodziły w jego rozumieniu za sprzyjające literaturze ojczystéj. W istocie zaś wszędzie go z wesołą twarzą witano, jako wyborny materjał do różnych fars i pustot. Dojeżdżał on i do Porycka; uczony Tadeusz Czacki prędko poznał się na nim, i żałując rozpróżniaczonego młodzieńca, chciał go czém pożyteczném zatrudnić. „Włóczysz się po całym Wołyniu, rzekł raz do niego, zamiast co masz pisać wierszydła, lepiéj policz mi szkółki wyższe i niższe po wsiach i miasteczkach, i spisz je dla mnie.“ Marcinkowski wziął to za urząd wizytatora szkół i wszędzie się potém chełpił z tego dowodu zaufania uczonego męża. Ale czasem też i Czacki namozoliwszy się przy pracy, lubił zabawić się tą pocieszną figurą. Pewnego razu pani Czacka ułożyła zagadkę historyczną, którą chciała przedstawić w obrazach. Marcinkowski właśnie znajdował się w Porycku, Czacki w dobrym humorze rzekł doń: chciałbym zrobić niespodziankę żonie i gościom i pokazać się w jednym obrazie, do czego ty mi dopomożesz. Gotów jestem na usługi pana hrabiego, odrzekł Marcinkowski. Czacki więc bierze na siebie rolę Anchizesa, a Marcinkowskiego robi Eneaszem wynoszącym ojca z palącéj się Troi i usiadłszy na barki wierszoklety tak go przycisnął swoim ciężarem, że ten prawie na czworakach wszedł do salonu. Na ten widok rozległy się grzmiące oklaski i wszyscy jednogłośnie zawołali: „Zgadujemy co to przedstawia; to wjazd Pana Jezusa do Jeruzalem!...“ Poznał się przecież Marcinkowski

na tym żarcie i tak się rozdąsał, że jakiś czas nie zawadzał o Poryck.

Czy skutkiem własnego zarozumienia, czy też wbity w to zarozumienie przez jakiego figlarza, dość, że Wołyń widział za ciasnym dla swojéj sławy i postanowił dać się poznać na większym świecie. Za tytuł do zrobienia sobie znajomości z literatami miał mu posłużyć *Gorset*, poemat pełen niedorzecznych konceptów, dość tłusty, a przytem nudny na zabój. Przepisawszy go na czysto, zabrał ze sobą i ruszył do Królestwa; a że po drodze miał znajome osoby, więc zatrzymał się u jednéj damy w Radomskiém i tak ją podszedł czy zmęczył czytaniem swoich wierszy, że ta chcąc się go pozbyć, pozwoliła mu na przypisanie sobie nieszczęsnego *Gorsetu*. Jakoż z dedykacją tą wydał go w Warszawie około 1819 r.

Pod tarczą tego utworu, którym zwykle ładował kieszenie i gwałtem wtykał każdemu do kogo się tylko zbliżył, wpadł naprzód do hrabiego Jana Tarnowskiego spokrewnionego z Czackim i prezentując się mu jako powszechnie znany literat, prosił o zaznajomienie z wszystkiemi literatami stolicy, a oraz wprowadzenie do znakomitych domów.

Niepomału zakłopotał się Tarnowski, zwłaszcza po przeczytaniu *Gorsetu*, ale darmo! grzeczny pan dał słowo, trudno się było już cofnąć.

Obwiózł go tedy Tarnowski; zaprezentował w domu jenerała Wincentego Krasińskiego, radcy stanu Koźmiana, zapoznał z Franciszkiem Morawskim, Osińskim, Dmóchowskim i innymi. Marcinkowski udawał wciąż zawołanego literata, mieszał się do rozpraw i sporów i niemiłosiernie wtorował klasykom w wojnie z romantykami, posuwając zarozumiałość swoją, aż do przedrwiwania piérwszych płodów téj muzy, do czego go szczególniéj Osiński podbudzał, śmiejąc się w duchu z arystarcha co nawet w rozumieniu klasyków gorzéj pisał, niż ci nowatorowie. Za tą zarozumiałością przyszła prędko kara. Jaxa z tytułu wołynianina, pragnął przedewszystkiem wejść w ściślejszą zażyłość z jenerałem Morawskim którego żona była wołynianką; wiadomo jak dowcipnym i żartobliwym był jenerał. On też jednym rzutem oka oceniwszy indywiduum, odkrył w nim nieprzebraną kopalnię wszystkich tych śmieszności, co mają źródło w niewiadomości i głupstwie połączoném z próżnością, pyszalstwem i zarozumiałością. Marcinkowski raz popadłszy w te szpony, już się z nich nie mógł wydobyć, długi czas tak w Warszawie jak w Lublinie służył za wyborną przyprawę do żartów. Mniemając on, że natrafił na dobrodusznego brata w Apollinie zaczął się jenerałowi zwierzać ze wszystkich swoich autorskich sekretów, ten zaś, póki wszystkiego nie wypompował z biednéj mózgownicy, słuchał potulnie i cierpliwie. Dopiero nazbierawszy funduszu, którego mu Marcinkowski dostarczył, napisał satyrę na niepowołanych bazgraczów niesmacznych wierszy pod tytułem: *Nowy Parnas* i odczytał ten wesoły utwór na zebraniu u jenerała Krasińskiego. Słuchał Marcinkowski i z pewną wyższością uśmiechał się na imiona wyliczonych wierszokletów, lecz gdy między napastnikami Parnasu usłyszał i siebie wymienionym, skoczył jak oparzony, do żywego dotknięty epitetem *dzielny*. Uspokajano go że ten epitet jest pochwałą, ale nie dał się przekonać i w końcu chcąc ukarać całe towarzystwo, pogroził wierszowanym odwetem i zaprzestał bywać u Krasińskiego. Natomiast teatr swych wizyt przeniósł do domu państwa Mokronowskich i do instytutu Kanoniczek i tam, to wierszami swemi, to tańcami, to niewinnemi grami, które dla zabawy panien wymyślał, zarabiał na pośmiewisko i żarty. Czterdziestoletniego wychowańca Parnasu, wyprowadzano na młynki, na walce, menuety i na rozmaite w grach towarzyskich zasadzki, póki się nim nie znudzono, jak natrętem wdzierającym się o każdéj dnia godzinie. Spowszedniawszy tam, nawiedził inne domy znajome, a mianowicie radcy stanu Koźmiana, gdzie postrzeżono jego nied ostatek, i uprzejmie zapraszano na obiady. Pewnego razu kiedy spodziewano się go na obiad, litościwe kobiéty wymówiły sobie żeby z niego nie żartowano, bo już niektórzy z literatów ostrzyli sobie na niego zęby. Ale Marcinkowski sam dał powód wszczynając materję o literaturze i żaląc się na Morawskiego za ów epitet *dzielny*. „Rozumiem co to się znaczy, dodał on dumnie wstrząsając głową, zazdroszczą mi i starają się przeszkadzać méj reputacji zdobytéj tylą dziełami. Przecież mając takie zasługi, należy mi się raczéj szacunek, niż prześladowanie.“

Słysząc to Osiński, rzekł doń: „Ja ci się okażę prawdziwym przyjacielem i powiem ci prawdę z jakiego powodu narażasz się na pośmiewisko u ludzi światłych....

— Proszę—odparł zaciekawiony Marcinkowski, będę wdzięcznym za szczerość.

— Oto piszesz niedorzeczne wiersze, odrzekł Osiński, zrzeknij się manji rymoklectwa, a nikt z ciebie żartować nie będzie.

Na te słowa jak piorunem rażony Jaxa zemdlał. Trzeba było trzeźwić go wódką kolońską. Gdy przyszedł do siebie, zaczął ręce łamać i wyszedłszy do drugiego pokoju wyrzekać na Osińskiego: „Co ten lichy i zazdrośny pijarek prócz siebie nie pozwala nikomu wierszy pisać?! Cóż on zrobił? Ja w jednym miesiącu więcéj napisałem, niż on przez całe życie!“ Uspokojono go jednak i dotrwał do końca obiadu, a na wety rozdał obecnym gościom bilety prenumeracyjne na mający wyjść Zbiór jego poezji.

Zapewne tęsknota po dobrym stole, bo był sławnym z apetytu, zaprowadziła go znowu do domu jenerała Krasińskiego, właśnie wtedy,

kiedy przyjechał znany z dowcipu i dobrego humoru Gustaw Olizar. Na obiadach na których punktualnie bywał Marcinkowski, opowiadał on o nim tysiące najzabawniejszych anegdot co całą kompanię pobudzało do wesołości i nieraz najkomiczniejsze zdarzały się sceny, jeżeli Marcinkowski czy wypierając się, czy przyznając do owych o nim anegdot, jeszcze obfitszego do żartów dostarczał żywiołu. Wtenczas to urodziła się pod dowcipném piórem Olizara *Jaxyada*, poemat bohatérski, i odtąd zaczęła się prawdziwa kampania żartów literackich z muzy i osoby Marcinkowskiego, dopóki nareszcie nie wyjechał ze stolicy. Gdzież wiec przeniósł swój warsztat? Oto do Lublina. Morawski stojący z brygadą swoją w tém mieście, wmówił w niego, iż Lublin lepiéj potrafi go ocenić niż niewdzięczna Warszawa; jakoż przyrzekł uprzedzić publiczność o jego talentach, a nadewszystko obiecał mu dać stół i stancję. Uszczęśliwiony otwierającą się karjerą, wyjechał do miasta, które od *lubości* bierze swoje nazwisko.

Zaledwie stanął w Lublinie, otoczony zaraz był uwielbieniami i pochwałami przygotowanemi przez Morawskiego i uwierzył w nie. Nie było nic śmieszniejszego jak przejeżdżanie się Jaxy po Lublinie karetą jenerała; co chwila wychylał się z okna i z zadowoloną twarzą obdzielał ukłonami przechodzących. Gdziekolwiek pojechał z wizytą, czytywał swoje wiersze wielbące wdzięki tamecznych pań i panien, a tak rozkołysany wziął się do dzieła większych rozmiarów i napisał poemat: *Pobyt w Lublinie*, który wydrukował i rozwoził po znajomych. Mając zwyczaj w dobraniu rymów i nieraz sensu, radzić się jenerała, przyjmował za dobrą monetę wszystkie śmieszności, które on mu podsuwał. I tak chcąc opisać kościół św. Michała założony przez Leszka Czarnego, męczył się dobraniem rymu do wyrazu: *mury* i napisał z pokrzywdzaniem historyi: *Leszek wtóry*. Morawski zganił mu to utrzymując że to za wielka licencja i radził w przybliżonym kolorze napisać: *Leszek Bury*; co téż i zrobił. W opisie tym pozwolił sobie całemi nazwiskami wymieniać znajome osoby, jak między innemi:

Zbliża się ku mnie postać grecka
Co widzę?! panna Umieniecka.

Można sobie wyobrazić jaką ta nowość furorę robiła w prowincjonalném mieście, gdzie wszyscy się znali.

W podobnym rodzaju były wszystkie jego madrygały do płci pięknéj. Czterowiersz do *Gruszeczki* ofiarował pannie, któréj nazwisko brzmiało podobnie:

Pani! jakże się miło z twém nazwiskiem pieścić,
Gdybyś w niém pozwoliła jedno *zet* umieścić;
Urosłby z tego owoc luby i soczysty,
Nie szatan by nim kusił, ale anioł czysty.

W ten mniéj więcéj szczęśliwy sposób szarmantował Jaxa płeć piękną, która często stawała w obronie nieszczęśliwego wierszopisa.

Długo byłoby opisywać najkomiczniejsze mistyfikacje wyprawiane z Marcinkowskim. Nareszcie gdy tenże często się kłopotał o przedmiot, powiadając, że wielki czuje w sobie zapał do pisania, ale mu przedmiotu brakuje, Morawski radził mu popróbować dramatycznéj sławy i napisać coś dla lubelskiego teatru. Marcinkowski rad z poddanéj sobie myśli, postanowił dla okazania wdzięczności swojéj lublinianom za uprzejme przyjęcie, wziąść za przedmiot do komedji Rzeczpospolitą Babińską, która właśnie najlepiéj nadawała się do wyszydzenia śmieszności i przywar téj prowincji, jak to robił jowialny Pszonka założyciel téj satyrycznéj republiki.

Morawski w liście do jenerała Krasińskiego taką daje dowcipną relację z tego przedstawienia.

„Zbiegliśmy się już o 4éj na teatr, on (Jaxa) od 3éj był na paradyzie i niewiedział, że go widzimy. Pełno było i wszyscy cieszyli się na głupstwo, które ich uraczyć miało. Szeptano po lożach, parterze, że tchórz wykpiony będzie. Podnosi się kortyna; lecz jak na koło miodem smarowane na pszczolnika, brawo na całym parterze i wtenczas widzimy jak sam Jaxa dawał brawo. Słowo uczciwości, prawda! Wlókł się potém cały 1szy akt przez trzy kwandranse, w którym o tém jedném zawsze była rozmowa, że wystraszymy tchórza. Kończy się 1szy akt; nudnie trochę. Żadnego oklasku; poeta zaalarmowany; śmiano się jednak z kilku rubasznych konceptów utopionych w nudnéj gadaninie i to go pocieszało. Podnosi się zasłona raz drugi. Tchórz o którym mowa była w całym piérwszym akcie, tu się dopiéro pokazuje, chociaż bawi ciągle w Babinie. Szemrzą po parterze, że szlachcica kontuszowego, z poczciwych dawnych czasów, wystrychnął na śmiech i wzgardę; lecz przypomniawszy sobie, że to płód Jaxowskiéj głowy, słuchają cierpliwie jak djabeł w balladzie (Odyńca). Kobiéty zmówione w piérwszym akcie, napędzają więc strachu tchórzowi, który wyskakuje oknem i chowa się w konopie. Znachodzą go tam, wyciągają i robią buńczucznym Babińskim, a na znak téj godności dają mu buńczuk, u którego wisiał, *cały zdechły tchórz*, za którym Jaxa jak warjat latał po całym Lublinie, aby go znaleźć. Owóż ów Kierdej Dziusa czyli bohater tchórz, bierze go bez żadnéj ceremonji, całuje (na honor!) trzy razy w ogon. Odbierają mu pannę; czemu on, ani się dziwi, ani nawet słowa nie mówi do końca sztuki, tylko wciąż całuje buńczuk, skacze, tańczy z nim i... zasłona spada! Tu dopiéro cały parter i loże wrzasną: autor! autor! Widzieliśmy że Jaxa także gębę miał széroko otwartą, co kazało się domyślać, że z całéj piersi wywoływał autora... występuje na scenę aktor i oświadcza, że autorem sztuki

jest: Wielmożny Kajetan z Jaxów Marcinkowski autor pism wielu! Brawo zagrzmiało po całym parterze, i Jaxa się pokazał i nuż emablować od loży do loży i zbierać pochwały. Ja w tém wszystkiém zawsze tę myśl miałem że jenerał pewno przyjedziesz na tę sztukę i że gdzieś siedzisz ukryty. Straszyłem go tém i dla tego aż na paradyz uciekł. Nazajutrz po całym Lublinie wizyty, wszędzie oklaski i chwała, któréj serdecznie wierzył, aż nareszcie przychodzi do prezesa (był nim Lubowiecki), który go wykpał, że starego szlachcica na Hanswursztа wykierował i że sztuki przedstawiać zabrania. Jaxa myśląc, że coś bardzo liberalnego napisał, prosi o wytknięcie miejsc, mających polityczną aluzję; ale mu wprost odpowiadają, że to nie polityka, ale głupstwo temu winne. Przerabia więc na nowo i nie wiem co z tego wypadnie. Wszystkie familje dotąd żyjące w okolicy Lublina pokładł do sztuki, jakoto: Gałęzowskich, Dłuskich, Sobieszczańskich, Wybranowskich, Finków i już ich teraz wymazuje i nad nowemi łamie głowę... Teraz mi mówił, że zamyśla tłumaczyć Odę do Boga z Dzierżawina. Co za przelot od Babina, jaka niespokojność imaginacji!“

Po tym tryumfie na scenie, zaczęło być Marcinkowskiemu za ciasno w Lublinie; co stolica to nie prowincyonalny kurnik, zapewne pomyślał sobie i niebawem wyruszył na żniwo nowych laurów, które nawet po drodze, jadąc rzemiennym dyszlem, niezaniedbał zbierać.

O jego przyjeździe do Warszawy tak pisze Koźmian w korrespondencji z Morawskim.

„Jest tu znowu Marcinkowski; śmieszniejszy niż był. W Puławach czytał księżnie swoją dedykację i poemat *Rzeki*. Powiada że płakała; że manuskrypt złożyła w świątyni Sybilli w złotéj szkatule; że księżna Wirtembergska zachwycona pięknością, porwała prenumeratę. Wszystko to rozpowiadał u Krasińskiego z wielką dumą i ukontentowaniem z siebie samego. Potem pobiegł do Glücksberga przyspieszać drukowanie. Za kilka minut wpada z rozczochranym włosem, łamie ręce, przeklina zazdrosnych jego sławie... Pytamy się o co idzie? rozumieliśmy bowiem że go kto wybił.... A on na to. Rzeki zginęły! Zginęły rzeki! ktoś wykradł z drukarni manuskrypt! Ztąd posądzenia to na ciebie, to na Krasińskiego.... Wypieramy się, dajemy słowo że nic o téj sprawce nie wiémy, nie wierzy, i wciąż wyrzeka: Moja sława! mój honor! co powie publiczność?! posądzi mię żem ją oszukał wybrawszy prenumeratę na dzieło, które nie egzystuje!.. Perswadujemy mu, że to jego własna wina że pozwolił muzom, jak kozom z bitego gościńca uskoczyć w bok; może wyskoczyły oknem?... To go wprawia w nową wściekłość; leci do Glücksberga... hałas na dziedzińcu, ledwie się nie biją. Niebo, piekło wyzywa; grozi pomstą, pozwami, i już pyta o najbliższego adwokata... W tem zecer wyciąga gdzieś z kupy papierów zasmolony manuskrypt i rzuca mu pod nogi... Jaxa ułagodzony, uśmiecha się do ukochanego dziecka... lecz Glücksberg występuje groźnie na scenę i zaczyna go brać z góry... Jaxa tuli kapelusz na uszy i zmyka....“ Morawski znowu wypytuje o niego pisząc z Lublina do Warszawy. Lublin, ja, Leszek Bury i parkan, wszyscy tęsknimy po nim. Cóż on robi? może na Łysą Górę zajechał? Mogę o nim i o sobie powiedzieć: *Nec tecum possum vivere, nec sine te!*“

Kiedy Jaxa wydał na świat poemat swój *Rzeki*, Morawski tak pisze do przyjaciół swych warszawskich: Koźmiana, Krasińskiego, między którymi a nim, ciągle utrzymywała się bardzo zajmująca korrespondencja literacka; w każdym liście, jak sól dla smaku potrawy, musiał się znaleźć jaki koncept na Marcinkowskiego. Owóż w jednym liście powiada: „powiedz mi czy to Jaxidło zupełnie oszalało? Wieżę Kruświcką *słupem* nazywa! Nigdyby tego w Lublinie nie napisał; tu może bylibyśmy z niéj *śluzę wieków* zrobili, dla tego, że stoi przy jeziorze; lub też *murowaną szatę czasu*, dla tego, że tak stara; lub nakoniec *komin do piekieł*, którym Popiel za swoje grzechy wyleciał do Tartaru. Tu byłby Jaxa prawdziwszy, a tak jak teraz, jest ni to, ni owo. Namawiajcież go niech przyjedzie tu nabrać sił nowych; tu jego Hipokrena. Nie wiem czy wiész, że przyszła mi myśl parodjować *Mazepę* Byrona. Pamiętasz, że tego tam do konia przywiązali, który z nim bez wytchnienia tyle dni i nocy leciał na Ukrainę. Czyżby Feb rozgniewany na Jaxę za głupie wiersze, nie mógł go podobnie do osła przywiązać, któryby z nim latał, a Jaxa wierszamiby ryczał lecąc przez Podole, Lublin, Warszawę i wszystkie rzeki i bagna?

Początek tego poematu byłby taki:

„Muzo! ożyw pierś moją swém boskiém natchnieniem;
Jaxa moim rycerzem, epopeja pieniem.
Jak ów, w rymach Byrona, dzielny koń Mazepy
Leciał z nim bez wytchnienia w ukraińskie stepy,
Lub ów żyd, co od wieków bez spoczynku lata,
I jeszcze ma się błąkać do kończenia świata—
Tak nasz Jaxa na ośle ruszywszy z Parnasu
Czterdzieści lat już prawie pędzi bez popasu!
Jakieś licho go niesie po różnych przygodach
Wali kłusem po lądzie, cwałuje po wodach . .
Takiéj ja to podróży chcę opiewać dzieje,
Jeźli mi kto dobrego szampana naleje;
Jeźli Molle i Kiszki złym rymom przebaczą,
A djabli Szaniawskiego choć raz porwać raczą!
Mogłem wprawdzie codzień czytając kurjera
Innego moim rymom obrać bohatera;
Mogłem nawet przedziwne ułożyć poema
Jedno z Baszy Janiny, drugie z Angulema;
Ale na cóż uwielbiać oklepaną sławę?
Sprzykrzyły się już światu te wawrzyny krwawe;
Wreszcie nie są to dla mnie rycerze bez braku,
A Jaxa jakoś lepiéj przypadł mi do smaku itd.

Mnóstwo w podobnym rodzaju krążyło wierszyków o Marcinkowskim, lub też w jego

imieniu pisanych; najwięcéj bawił się niemi żartobliwy humor Morawskiego. Innego razu gdy Jaxa do Lublina zawitał, a często się uwijał między tém miastem a Warszawą, taką podaje o nim anegdotę list Morawskiego:

„Jaxa pisze na mnie komedję pod tytułem: *Teraźniejsza Przyjaźń*. Dowiedział się w teatrze, że epigraf na satyrze *Znawców* nie jest Krasickiego, ale Naruszewicza. (Morawski zwykle podsuwał mu podobne epigrafy i umyślnie mylił co do autora, z którego były wyjęte, co po wydrukowaniu wprawiało Jaxę w ogromną rozpacz). Rzucił się z parteru jak szalony; trzy ławice obalił i kilku widzów. Spotykam go wychodzącego z teatru, pytam się o przyczynę pomieszania. Przeklina mnie, siebie i losy; leci jak warjat do sklepów i księgarni gdzie dał swoich *Znawców* na sprzedaż; puka, dobija się w nocy.... patrol nadchodzi, myśli że złodziéj i zabiera do kozy. Przyprowadzają na odwach, szczęściem, że go oficer znał i wypuścił. Nazajutrz z ranną zorzą wstał i wszędzie, gdzie tylko były egzemplarze, podpis na epigrafie: *Krasicki*, wymazywał, ale i to dało powód do nowych żartów. Już nie wié nieborak co ma robić i gdyby nie święcone, nie miałby żadnéj pociechy...“

Nad Marcinkowskim znęcali się często młodzi pisarze po pisemkach warszawskich; owóż Morawski ujmując się za swoim protegowanym, odpowiadał w jego imieniu. W jednym z takich wierszów bardzo dowcipnie zachowany jest ton Marcinkowskiego, w jakim zwykle wynosił swoje zasługi na Parnasie.

„Panie Godebski
Wiersz twój jest kiepski,
Lepiej młodziku
Nuć kukuryku.
Ja piszę wiérsze
Nie jak ty, piérwsze.
Mnie muza pieści
Już lat czterdzieści.
Jeszcześ był w jajku
Mały haltajku,
Gdym w Parnas wkroczył
I już przeskoczył
W sztuce Apolla
Kiszkę i Molla. *)
Kijów mię głosił,
Na ręku nosił,
Karmił i poił;
A gdym się stroił
W wieniec wołyński
Płakał Feliński! **)
Cóżeś ty zrobił
Byś się ozdobił
Laurem poety?
Gdzież twe *Gorsety*?
Ty piszesz drwinki,
Ja *Upominki*;
Ty mód żurnale,
Ja *Rzeki* walę.
Sypią się tomy,
A świat łakomy
Na moje *Treny*,
Znawce, *Ireny*,
Pszonki, *Pobyty*
Stoi jak wryty
Nad każdą kartą
Z gębą otwartą.
Prawda, że wielu
Ma mię na celu
I drwi potężnie.
Lecz czemuż mężnie
Nie znieść pocisku,
Zwłaszcza dla zysku?
Przy darze Feba
Rozum mieć trzeba.
Moja intrata
Prenumerata.
Wreszcie mój Panie
U nich śniadanie,
Obiad, wieczerze;
A ja ci szczerze
Powiem po prostu:
Nie lubię postu.
W strasznem zawzięciu
Jém za dziesięciu itd.

*) Kiszka Zgierski i Moll wierszokleci wileńscy.
**) Feliński autor Barbary.

Kawałek ten może mieć nawet wartość dla dzisiejszych bibliografów spisujących skrupulatnie wszystkie płody wszystkich bez wyjątku autorów, mieści bowiem tytuły dzieł, przez Marcinkowskiego wydanych; lubo nie wiem dokładnie, czyli autor nie opuścił czego, co mogłoby należeć do wielkich rzadkości.

Tymczasem póki Jaxę przyjmowano po domach i bawiono się nim, póki rozbierano bilety pronumeracyjne na jego liczne dzieła, póty żywot jego dość wesoło upływał; lecz po kilku latach téj farsy znudzono się nim i zapewne nie wszędzie byli mu radzi i nie zawsze przyjmowano bilety aby w zamian ofiarować gotówkę... Bieda, ta nieodmienna przyjaciołka literatów wszelkiego gatunku od początku świata, musiała i do niego często zaglądać i zapewne złość swoją wywrzeć, najprzód na jego garderobie.... Opuszczenie się zewnętrzne, czasem i twarz blada, przeciągnięta, świadcząca o skurczonym żołądku, dały do zrozumienia jego znajomym, których kosztem swoim rozrywał, że stan literackiéj kieszeni musi być opłakany....

Morawski, któremu dowcip nie odbierał dobrego serca, tak w jednym liście odzywa się „Żona moja dowiedziała się, że Jaxa znajduje się w potrzebie i chciałaby biédakowi dopomódz. Powinniśmy mu co obmyśleć, bo przecież z tą rolą nie może zostać na całe życie...“

W innym znowu liście do jen. Krasińskiego: „Jaxa, drogi Jaxa, podobno chory i prawie tak nędzny jak jego wiérsze. Niech się jenerał dowie czy to prawda, bo przecież nie

można go opuścić. W Wielkopolsce, w Szląsku nawet mówiono mi o nim. Zastanawiałem się jak rymy jego mogły go tak głośnym uczynić i wytłumaczyłem sobie to, temi wierszami, które kiedyś tam zrobiłem:

Sława, co życie nasze przedłuża za grobem
Szczególnym dzieła ludzkie rozgłasza sposobem:
Z dwóch stron sobie przeciwnych dwie trąby przytyka:
Jedną głosi Byrona, a drugą Jaxika....“—

To pewna, że dla zrobienia sobie popularności, potrzeba albo geniuszu, albo ogromnéj porcji głupstwa. Miłość własna Jaxy mogła się czuć zadowolnioną, kiedy imię jego nabrało takiego rozgłosu; ale cóż, sława ta wiatrem nadziana, nie karmiła głodnego i wiele potrzebującego żołądka....

Z ustanowieniem kuratorji nad szkołami, otworzyło się wiele posad na inspektorów czyli dozorców prowadzenia się uczniów. Marcinkowski chcąc sobie los zapewnić, podał się na tę posadę. Jeneralny kurator kasztelan Okselewicz byłby za nic nie dał mu miejsca, jako człowiekowi będącemu celem tylu żarcików, ale wstawili się za nim tak jenerał Krasiński jak Koźmian przekładając: że to uczciwy człowiek, że byle mu zakazać wiersze pisać, będzie dzieci pilnował lepiéj niż każdy inny, a ze siebie nie da żadnego zgorszenia; zresztą można go posłać daleko od Warszawy, gdzie jeszcze sława jego śmieszności nie doszła. Jeneralny kurator zgodził się na to, a Marcinkowskiemu powiedziano, że miejsce otrzyma, tylko potrzebuje zaprezentować się kuratorowi....

W kilka dni potém, przychodzi do Koźmiana ogromnie zmartwiony i zdziwiony, że mu kurator przyrzekł miejsce, lecz pod warunkiem, żeby wierszy nie pisał „wolę z głodu umrzeć, jak zrzec się tego, czem sobie w kraju reputację i niejaką sławę zrobiłem.“ Koźmian reflektuje go tłumacząc, że zapewne kuratorowi idzie o to, aby pisanie wierszy nieodrywało go od ważnych obowiązków urzędowania; zresztą może je pisać i chować do teki, byle nie ogłaszać drukiem. Nareszcie po długich staraniach w Komissji Oświecenia, Marcinkowski został mianowany inspektorem w Płocku. Koźmian interesujący się szczerze losem biedaka, przywołał go i oznajmił mu pomyślną nowinę. Lecz on wpadając w największą rozpacz, zawołał: Jakto? ja tylko inspektorem? ja, co pół wieku strawiłem na przysługach literaturze, a inni, co pióra nie zmaczali kuratorami zostają! To już jest krzywda, któréj sobie wyrządzić nie dam!“— Koźmian tak dobrze nakładł mu w głowę, tak zbił jego przesadzone pretensje, że nareszcie przyjął podany sobie uczciwy kawałek chleba i ruszył do Płocka. Morawski jak tylko wiadomość ta doszła do niego, zaraz pisał do jenerała Krasińskiego:

„Jaxa ma więc urząd! Cieszę się.
Mówią, że po téj wieści rozszerzonéj w Płocku
Tak się ciemno zrobiło jakby o północku:
Szatan rymów na czarnym przeleciał ogierze,
Sowy huczeć zaczęły, piszczéć nietoperze,
A widmo Bielawskiego *) uwieńczone chwastem
Rycząc wiersze *Gorseta*, bujało nad miastem.
Zdumiał się Kobyliński**) na ten przestrach płocki,
W dwa tysiące żołnierzą wystąpił Cichocki,
A Prażmowski, co wszystkich do skruchy zagrzewał,
Niezmiernie cienkim głosem *miserere* śpiewał.

„Widzę ja w tem okropną intrygę Cichockiego ***) i dla tego go tu w wierszu umieściłem. Wydarł mi to, na com pracował. Ja to dałem do *Rzek* myśl piérwszą, ja mu poddałem *żwiry* i *bawełny*. *Hos ego versiculos feci, alter tulit honores. Sic vos, non vobis.*“

Oddalił się Marcinkowski od Warszawy tego ogniska żartów z jego muzy— w Płocku opiekował się nim prezes Kobyliński i starał się zjednać dlań u zwierzchności szkolnéj dobrą opinję. I zdetronizowany poeta podawał się dobrym radom i wcale przyzwoicie sprawiał się na urzędzie. Ale niepohamowana chęć rymoklectwa przemogła; zdawałoby się, że krew w jego żyłach płynęła rymami, pisał więc znowu rozmaite banialuki; opisywał Płock zabawy, panny; czytywał po domach swoje utwory, między innemi pocieszną ramotę pod tytułem: *Echo*, gdzie umieścił o jednéj pannie kochającéj się w oficerze następujące dwa wiersze:

A co to tej pannie na sercu doliga?
Echo niedosłyszało, i mówi: Szeliga.—

Nakoniec gdy mu brakło przedmiotu, opisywał żydów i żydówki płockie, a jadąc do Warszawy przez Miłosnę i blizkie wioski zwane Mamki, zrobił z téj okolicy kraj miłosny, w rubasznych, dwóznacznych i swawolnych wierszach, które wstępując po różnych dworach czytywał.... Jednakowoż zwierzchność nie brała mu tego za grzech nieodpuszczony, i szczęśliwie dosiedział na swoim urzędzie aż do r. 1831 w tym bowiem roku paraliż naruszył mu pół głowy, przyjechał do Warszawy, a czując się bardzo chorym, oddał się w kuracją do szpitala Sióstr miłosierdzia, gdzie wkrótce umarł, w czém miałby niejakie podobieństwo z Klonowiczem, Kamoensem, Gilbertem, Heggezzipem Moreau i innymi poetami co niepojęci przez współczesnych, poumierali w szpitalnéj nędzy. Szczęściem współcześni nie będą mieli Jaxy na sumieniu; owszem opiekowali się nim lepiéj, niż nie jednym, co więcéj miał talentu, choć może nie zasługi, bo czyż nie wypadałoby policzyć mu za zasługę że śmiesznościami swemi budził takie dowcipy i w dobry humor wprawiał zebranych na pogadankę literatów, Przyznam się że wesołe

*) Autora komedji: Natręty.
**) Prezes Płocki.
***) Cichocki był jenerałem brygady.

koncepta, ożywiona jowialnością rozmowa, szermierki językowe gdzie jeden tnie, a drngi się odcina, bez zadawania krwawych i bolesnych razów, stokroć są nieszkodliwsze i przyjemniejsze, niż posiedzenia nieporosłych sęsatów gadających górnym stylem o przeznaczeniach ludzkości, lub o tem, co Pan Bóg myślał kiedy świat stwarzał; piérwsze może sobie być głupstwem, pustotą, ale nie ma pretensji uchodzić za mądrość platońską; w drugim przypadku pod maską arcypoważnéj i nudnéj gadaniny stylem filozoficznym, najczęściéj ukrywa się jeszcze gorsze głupstwo, bo z pretensją do głębokiego rozumu i nauki.

Lucjan Siemieński.

WSPOMNIENIE DWULETNIEGO POBYTU W JAWIE.

(Wyjątek z dziennika podróży odbytéj w ostatnich czasach).

(Dokończenie).

V.

Muzyka.—Trzęsienie ziemi.—Polowanie na tygrysa.—Wąż i kot.— Małpy.— Doktór Ploëm.— Trucizny.— Powrót do Europy.

Nasi przewodnicy radzili żebyśmy dosiedli koni i mieli słuszność, bylibyśmy bowiem upadali co chwila, tam gdzie te poczciwe zwierzęta przechodziły nie potknąwszy się nawet północy; trochę daléj spostrzegłem ogromne drzewo bananowe, które rosło tu swobodnie i szeroko rozkładało swe konary, tak że nie można było dostrzedz ich końca.

„One tu często bywają!“ rzekł do mnie jeden z przewodników, rzucając w gęstwinę zalęknione spojrzenia. Kto taki? Tygrysy. Czy słyszysz pan? dorzucił pan Abels, zdaje się, że jesteśmy w niebezpieczném towarzystwie Szczęściem



Strój głowy jawański.



Strój głowy malajski.

Cudowny jest instynkt koni z gór jawańskich; na urwiskach gdzie pies z trudnościąby przeszedł, one siadają na zadnich nogach, używają ich jak hamulca, posuwając się tylko na przednich ostrożnie, z wyciągniętą szyją i nadstawionym uchem; unikają wszelkich roślin w które zaplątaćby się mogły, nogą probują gruntu i zdają się rozpoznawać każde miejsce, jak gdyby tamtędy codziennie przechodziły. Deszcz lał potokami, byliśmy całkiem przemoczeni, co w Jawie sprowadza prawie zawsze ciężką febrę; jechaliśmy więc śpiesznie, aby jak najprędzéj dostać się do jakiego schronienia. Skierowaliśmy się już zupełnie ku nie spotkaliśmy żadnego tygrysa dnia tego, chociaż słychać było krzyk pawi, co jest znakiem nieomylnym że indjanin powiedział prawdę, bo pawie i tygrysy zamieszkują zawsze téż same miejsca. Dozorca plantacji kawowych, u którego zatrzymaliśmy się trochę, zapewniał nas, że ostatniéj nocy tygrys obchodził dom jego tak blisko, że przez szczeliny bambusowe słyszeć można było jego oddech i że to straszne zwierzę leżało kilka godzin koło jego pokoju sypialnego. Nareszcie deszcz ustał równie raptownie jak zaczął padać, pogoda powróciła i udaliśmy się w dalszą drogę do Boghory, gdzie po czternastu godzinach jazdy pod pie-

kącém słońcem równika, przybyliśmy o siódméj w wieczór. Przez kilka dni wypoczywałem po męczącém utrudzeniu i byłem świadkiem tańca bajaderek. Wspaniałe i rozłożyste drzewo ocieniało mnóstwo ludu zbiegłego na odgłos muzyki. Na pniu stała orkiestra, składająca się z brzęczących instrumentów i dzwonków zwanych *tam-tam*; zagłuszały one rzempolenie skrzypków krajowych, zrobionych ze skóry węża, skorupy żółwia i kokosu wyżłobionego. Pociągają je smyczkiem na przemiany u wierzchu i pod spodem. Cymbały i kilka instrumentów z drzewa pokrytego miedzią, odznaczały się pośród tego straszliwego hałasu. Wśród muzykantów, kobiéta młoda, dziwacznie ubrana, wyprawiała skoki i ćwiczenia gimnastyczne, które stanowią taniec krajowców. Złoty pas obciskał kibić téj jawańskiéj Taglioni, w koło zaś obwieszoną była różnego koloru chustkami, które na znak zadowolenia dostawała w darze od widzów.

Biały gorsecik bez rękawów zgrabnie ją okalał, na piersiach krzyżowały się dwie wstążki, czarna i czerwona, spięte u pasa bogatą sprzączką, od któréj wisiały różne świecidła malajskie, flakoniki, słoiki do pomady, kluczyki i t. p. Nie była samą na scenie, kiedy niekiedy mężczyzna wybiegał śpiewając i czyniąc dziwaczne pantominy, na które tanecznica odpowiadała gestami, a czasem krzykiem przeraźliwym. Na twarzach widzów malowało się zadowolenie i głębokie przejęcie tą uroczą muzyką, któréj takt powtarzali niekiedy głosem lub biciem w dłonie. Zabawa taka jest najmilszą rozrywką indjan. Chińczycy, nie lubieni przez malajczyków, dostarczają niekiedy wątku tym przedstawieniom, na których są wyśmiewani. Pewnego dnia zastałem u drzwi moich malajczyka, który prosił o pozwolenie pochlubienia się przedemną swym talentem, opasany był koło bioder drabiną sznurową, która pobudziła moją ciekawość; zapytałem się o cenę widowiska które chciał przedstawić. „Ośm centymów za każdy akt, odpowiedział.“ Ofiarowałem mu jedną rupię i kazałem zaczynać. Rozłożył więc swoją drabinę, koniec jeden przytwierdziwszy do sąsiedniego drzewa, przez drugi przełożył nogę i zaczął uderzać mocno pałkami w szczeble zrobione z giętkiego bambusu, co tworzyło rodzaj melodji, bardzo nie wyraźnéj, ale przynajmniéj nie głośnéj, dlatego przekładam ją nad wszystkie orkierstry jawańskie.

Posłuchawszy czas jakiś téj muzyki, odszedłem do mego pawilonu, sądząc że artysta uczyni toż samo, ale bynajmniéj, pół godziny, potém godzina mija, a on gra nieustannie; wychodzę więc i namawiam go grzecznie żeby sobie już poszedł. Uczynił tylko znak przeczenia i drugą jeszcze godzinę przygrywa niezmordowanie. Wtedy już tracę cierpliwość, ten hałas krótki urywany, drażni moje nerwy, odprawiam artystę formalnie; ale on odpowiada, że zapłaciłem go za dwadzieścia pięć godzin muzyki i musi je odegrać. Z wielką trudnością udało mi się wytłomaczyć mu, że kwituję go z tego obowiązku i nie chcę słuchać daléj. Odszedł nareszcie, bardzo obrażony, że nie poznałem się na jego talencie. Wszystkim wydało się to rzeczą nadzwyczajną, gdyż jawańczycy namiętnie lubią tego rodzaju melodje. Byłem świadkiem jak pan Grenier zapłacił dnia jednego dla swoich ludzi służących, marjonetki i tancerzy; całą noc przypatrywali się temu widowisku, bez względu na ciężką pracę, która ich znowu czekała.



Zaczął uderzać mocno pałkami w szczeble zrobione z giętkiego bambusu.

Tegoż samego dnia, kiedy trafiła się owa przygoda z muzykantem, o piérwszéj godzinie po północy, uczułem podnoszący się mój materac po kilka razy. Zerwałem się przestraszony i w myśli mojéj stanęła nagle świeża przygoda na wybrzeżach Borneo, gdzie pomordowano wszystkich europejczyków. Schyliłem się pod łóżko, wyobrażając sobie że ujrzę błyszczące oczy mego mordercy, ale nikogo tam nie znalazłem. Zdziwiony pobiegłem otworzyć okiennicę, a w téj chwili uczułem mocne wstrząśnienie całego pokoju i usłyszałem rżenie koni, beczenie owiec, wycie psów, nocne zaś ptastwo umilkło nagle. Było to trzęsienie ziemi. Głuchy odgłos, jakby burzy z daleka grzmiącéj dawał się słyszeć. Wybiegłem przerażony z mego pawilonu, lękając się być przybitym jego gruzami; zaledwie wyszedłem, trzeci raz zatrzęsła się ziemia, mocniéj niżeli pierwéj. Wszyscy indjanie powychodzili z domów.

— Ziemia się trzęsła! rzekł mi jeden z nich, blady z przestrachu.

— Czułem to! odpowiedziałem, ale czy to się często trafia?

— Nie panie, bardzo rzadko, ale czasem

wstrząśnienia bywają silniejsze i obalają domy.

Szczęściem skończyło się na tém że gałęzie drzew kokosowych drżały jeszcze czas jakiś, jakby poruszone wiatrem. Przestrach jakiego doznałem, długo pozostał w mojéj pamięci, wyznaję otwarcie, że to jest rzecz najstraszniejsza jaką kiedykolwiek widziałem. Uczucie że się jest narażonym na straszne niebezpieczeństwo przed którém uchronić się niepodobna, czyni bardzo przykre na umyśle naszym wrażenie. Nazajutrz mówiono wiele o wypadku zaszłym przeszłéj nocy; trzęsienie było silniejsze jeszcze w górach niżeli w okolicach Boghory, sądzę więc, że musiało być spowodowane wybuchem wulkanu. W kilka dni potém p. Abels przyszedł mnie odwiedzić i podarował mi prześliczny krajowy łuk ze strzałami. Broni téj indjanie używają najwięcéj do polowania. Książęta jawańscy lubią bardzo polowanie, szczególniéj na jelenia, którego doganiają nie psami, bo te nie znoszą klimatu, ale dojeżdżają konno i zabiegają dopóki się bardzo nie zmęczy, wtedy zarzucają na niego lejce skórzane i dobijają go pałką, na któréj końcu znajduje się gałka ołowiana. Tego rodzaju polowania używają tylko znakomite osoby.

Wspomniałem już o nadzwyczajnéj obawie jaką tygrysy wzbudzają w krajowcach, mała też bardzo liczba ośmiela się polować na nich, bo ogromne gęstwiny w które kraj ten obfituje, czynią ich schronienia nadto niedostępnemi. Jednakże, znajdują się i tu myśliwi na dzikie zwierzęta, którzy wymyślili różne sposoby złowienia tygrysa, nieznane w Europie, a nawet schwytania go żywcem. Wyśledziwszy miejsce którędy zwierzę przechadza się nocną porą, myśliwcy wykopują tam dół kwadratowy, głęboki na cztery do pięciu metrów, sadzają do niego kozę, albo inne jakie zwierzę z donośnym głosem i przykładają otwór cienkiemi prętami, na których jak można najlżéj usypują trochę ziemi. Za nadejściem nocy czuwają z daleka, dopóki nie ucichnie głos zamknionego zwierzęcia. Tymczasem tygrys zwabiony głosem, poczuwszy zwierzynę, szuka i wącha po krzakach, dopóki nie wpadnie w zasadzkę; wtedy zwierzę zamknięte umiera najczęściéj ze strachu w jednéj chwili, a tygrys pożarłszy je chce się uwolnić; wyskakuje w górę i drapie ziemię pazurami, wreszcie widząc bezużyteczność usiłowań swoich, kładzie się spokojnie wyciągając szyję na przednie łapy; wtedy można strzelać do niego, albo wziąść go żywcem, spuściwszy do dołu szeroką klatkę żelazną z boku tylko otwór mającą. Drażnią go wówczas rzucając po trochu do dołu ziemię świeżo wykopaną, tygrys cofa się i niecierpliwi, dopóki nie dojdzie do klatki, wtedy zasuwają otwór, wyciągając klatkę na wierzch i unosząc na bambusowych noszach. Europejczycy którzy znosić mogą zmiany klimatu, polują mniéj niebezpiecznie na antylopy, lub dziki, rzadko kiedy mają odwagę zabijać małpy, których konanie i żałosne płacze rozdzierają serca, są bowiem zupełnie do ludzkich podobne. Pan B. jeden z Nemrodów jawańskich opowiadał mi, że raz spotkawszy stado małp strzelił w gęste drzewa i skaleczył przypadkiem małpę i dziecko które trzymała na ręku. Spadłszy na ziemię, nieszczęśliwa matka zapominając o własnym bólu, z rozpaczą opatrywała ranę dziecka i zatrzymywała krew z niéj płynącą, okrywała je pieszczotami, płacząc i skarżąc się żałośnie, wreszcie ujrzawszy że już nie żyje, sama także żyć przestała. Pan B. przyznał mi się, że widok ten rozdzierający, wzruszył go do tego stopnia, że nigdy już odtąd nie zabił żadnego z tych zwierząt. Krajowcy mają różne sposoby chwytania małp, najczęściéj wdzierają się na wysokie drzewa kokosowe i w jednym z orzechów wydrążają bardzo mały otwór, potém spuszczają się na ziemię. Małpy są z natury ciekawe i lubią naśladować człowieka, włażą więc natychmiast obejrzeć przedziurawiony orzech, choć z trudnością kładą rękę w mały otwór, a zabrawszy jądro, nie mogą jéj wyjąć, wtedy szarpią się i lamentują, ale nie puszczą zdobyczy i tym sposobem zostają uwięzione.

Walki zwierząt, są także ulubionem widowiskiem indjan. Władcy ich często używają téj rozrywki. Wygłodziwszy tygrysa, wypuszczają go do walki z bawołem, który najczęściéj zostaje zwycięzcą i przebija tygrysa swemi ogromnemi rogami. Ale ponieważ widowiska takie, przypominające złote czasy Cezarów, są nader kosztowne, ubożsi mieszkańcy, ograniczają się na przypatrywaniu się walce kogutów i przepiórek, a najwięcéj świerszczów które choć z natury łagodne, zamknięte przez czas jakiś w pudełku i drażnione, zażarcie biją się, wypuszczone w tym stanie jeden na drugiego.

Te widowiska nietylko niedorzeczne i okrutne, bywają często nader szkodliwe dla krajowców, gdyż wywołują zakłady, które niszczą ich majątki.

Pokazywano mi tam także szczególne zwierzę w rodzaju dużego szczura, okrytego łuską okrągłą, z któréj wyrabiają kapelusze. Żywi się ono mrówkami i nie jest szkodliwe, ale jego drapanie po posadzce ostremi pazurkami i ciągłe sapanie nieznośnem mi się stało z czasem. Darowano mi potém żabę z nieznanego gatunku, miała nogi zadnie nierównie większe jak przednie, co tak ułatwiało jéj skakanie, że dawała susy aż do sufitu, skakała też po stolikach i po głowie mojéj, co sprawiło że ją wypuściłem na wolność. Najdłużéj chowałem zielonego węża, który nie był jadowity, a stawał się złośliwy wtedy tylko gdy był drażniony. Kolor skóry miał prześliczny, jak aksamit zielony; po obu stronach brzucha pasy złote świecące przez całą długość, która dochodziła do jednego metra, główkę miał małą, ruchy nadzwyczaj zgrabne; trzymałem go zwykle w sło-

ju, ale czasami wypuszczałem na wolność, a wtedy właził na stoły i obwijał się koło nóg, nie czyniąc jednak szkody ani hałasu. Koniec jego był smutny, jednego dnia kiedy wypuściłem go ze słoja, młody kotek, którego wychowałem także jako osobliwość krajową, bo różnił się od naszych tém, że miał wśrodku ogona jakby gruby węzeł, zaczepił węża łapką chcąc z nim pożartować. Płaz rozgniewał się tak mocno, że skręcił się natychmiast w ósemkę, z zielonego stał się szarym, prawie czarnym i rzucił się na przeciwnika, który bronił się łapką i zręczne policzki mu dawał. Widząc że walka staje się groźną, chciałem węża włożyć do jego słoja, ale indjanie przytomni ostrzegli mnie, że niebezpieczną byłoby rzeczą dotykać go w téj chwili, wkrótce też potém faworyt mój zabity został przez walczącego z nim kota.

Opowiadano mi wiele osobliwości o pobliskich okolicach, i umyśliłem zwiedzić je jeszcze. Pan Abels obiecał towarzyszyć mi znowu.

Wyruszyliśmy konno z Boghory o drugiéj z południa, z temi samemi przewodnikami co piérwszą razą; nieśli oni nasze rzeczy lekkie bardzo i żywności trochę. Mieliśmy zajść daleko przed wschodem słońca. Noc zapadła tak ciemna, że niewidzieliśmy naszych koni, które instynktowo szły za przewodnikami, lękając się co chwila.

— Czego tak lękają się nasze konie? zapytałem przewodnika.

— Zapewne malajczyków, którzy leżą w rowach albo też wężów, co uciekają za naszym zbliżeniem, odpowiedział.

Po godzinie wjechaliśmy w las gdzie już nic nie widziałem i zdawało mi się, że nie naprzód, ale w tył się cofamy. Nad ranem przybyliśmy jednak szczęśliwie nad granicę kraju Prehangans, któréj przejechać nie wolno bez wyraźnego pozwolenia; przyczynę téj surowości łatwo jest odgadnąć. Prześliczny ten kraj, wydaje szczególniéj kawę, indygo, koszenillę, herbatę, pieprz, cynamon i muszkatel, które stanowią jego bogactwo. Zamieszkały jest przez dwa miliony indjan, którzy pracują nad uprawą tych roślin i sprzedają je bardzo drogo handlującym cudzoziemcom.

O wschodzie słońca odpoczywaliśmy pod cieniem namiotu zbudowanego na szczycie góry. Przed nami widać było zdala uroczy kraj do którego zmierzaliśmy, najeżony rozmaitego kształtu górami i wspaniałemi drzewami.

Po lekkiem śniadaniu chcieliśmy wyszukać na deser owych olbrzymich poziomek, które poczciwy i uczony doktór Ploëm przywiózł tu umyślnie z Europy dla wygody podróżnych. Właśnie zabieraliśmy się do uraczenia się niemi, kiedy usłyszeliśmy w sąsiednim lesie hałas podobny do wiatru łamiącego gałęzie.

To małpy idą! zawołał pan Abels, nie ruszajmy się z miejsc naszych!

W saméj rzeczy spostrzegliśmy wielkie stado małp siwych z czarnemi głowami, które skacząc z drzewa na drzewo, przybliżały się do nas, a spostrzegłszy, pochowały się w gałęzie. Żaden z nas nie ruszył się z miejsca i zachowaliśmy głębokie milczenie, wtedy ufność powraca, a ciekawość bierze górę, zwolna wysuwają się kosmate głowy, przypatrując się nam z podziwem, najśmielsza z nich, zwiesza się z gałęzi bardzo blisko; najmniejsze poruszenie byłoby spłoszyło całe stado, ale nie uczyniliśmy go dopóki nie napatrzyliśmy się igraszkom ich i swawoli, która przecież nie była złośliwa, ani przeciwko nam wymierzona. Nakoniec powstaliśmy raptownie, a stado przestraszone pierzchło z krzykiem i szelestem.

Chcieliśmy jeszcze widzieć piękne jezioro, które niedaleko ztamtąd położone i dojechać daléj przed zbytecznym upałem. W drodze spotkaliśmy orszak krajowców, w którym dwie kobiety niesione były w palankinie, przez kilku ludzi przemieniających się często. Za niemi szedł mąż obydwóch kobiet, (w Jawie wielożeństwo jest dozwolone). Orszak przeszedł pośpiesznie koło nas, pozdrawiając nas najuprzejmiéj. Daléj spotkaliśmy trzech ludzi konnych, którzy spostrzegłszy nas, zdjęli kapelusze i kamizelki, a za zbliżeniem zsiedli z koni i popadali na twarze. Oburzyła mnie ta uniżoność, kazałem im powstać, przekładając że taka pokora Bogu się tylko należy. Zdziwiło ich najmocniéj takie obejście i słyszałem jak mówili do siebie.

— Ten pan nie jest chyba holendrem.

Zdjąłem tam także rysunek z powozów jawańskich o dwóch kołach, przypominam sobie, że jeden indjanin spostrzegłszy moje zajęcie bardzo naiwnie rzekł do mnie:

— Pan byłeś pewno fabrykantem powozów w przeszłém życiu.

Indjanie wierzą w metampsychozę.

Po dwunastu godzinach jazdy, przybyliśmy do naznaczonego popasu o drugiéj z południa. Doktór Ploëm przyjął nas gościnnie i opowiadał różne ciekawości o kraju, który zwiedzaliśmy. Ten uczony i razem tak przyjemny człowiek, zamierzył sobie zwiedzić wszystkie wulkany w Jawie i dlatego przebywał w téj części wyspy, która najwięcéj w nie obfituje. W czasie straszliwego wybuchu wulkanu *Merapi*, który pozbawił życia ze trzydzieści tysięcy ludzi, nasz doktór wdzierał się na sam szczyt krateru, zkąd zionęły płomienie duszącego dymu i ognia. Indjanie towarzyszący mu, nie chcieli iść daléj i opuścili uczonego, który szedł nieustraszony pomimo gorąca, dymu i duszących wyziewów.

Pan Ploëm w czasie téj niebezpiecznéj przeprawy, poczynił bardzo ważne spostrzeżenia i widział własnemi oczami nadzwyczajne zjawisko, które opisał w dziele swojem. Pracował właśnie nad niém kiedy spotkaliśmy się w Jawie. Cudownie prawie wybawił się od

śmierci, gdyż straciwszy przytomność upadł i trzy dni leżał w pośród potoków lawy i spadających z góry urwisk. Indjanie spostrzegli przypadkiem ciało europejczyka i donieśli władzy, która wysłała na zwiady orszak krajowców. Znaleziono doktora w okropnym stanie, zapuchłego od ukąszeń mrówek i innych owadów; od wilgoci dostał febry, która w Jawie zwykle bywa śmiertelną. Przez kilka dni życie jego było w wielkiém niebezpieczeństwie, wyszedł wreszcie z choroby, ale nigdy już nie przyszedł do dawnego stanu zdrowia. Podobnych poświęceń dla nauki z jego strony, mógłbym więcéj jeszcze przytoczyć.

Pomiędzy ciekawościami które nam pokazywał, był rzadki zbiór zwierząt żywych i wypchanych, pomiędzy niemi pięć sztuk wężów. Te płazy mieszkały z początku w pokoju przybocznym sypialni doktora, ale hałas nadzwyczajny, który czyniły w nocy, zmusił go do przeniesienia ich do małego domku z kamienia, który kazał umyślnie wybudować w kącie ogrodu. Jednego dnia kiedy przyszedł w wieczór odwiedzić swoich więźniów, zastał tylko mur rozwalony, a płazy pouciekały w ogród. Zmartwiony tak dotkliwą stratą, zaczął ich szukać ale tylko jednego zdołał wynaleźć, wprawdzie najpiękniejszego ze wszystkich, który zanurzył się w rzeczkę i uciekał co siły. Doktór rzucił się za nim w wodę bosemi nogami bo wyszedł rozebrany, uchwycił go za ogon i do dawnego mieszkania przyniósł; widziałem tam to zwierzę, żywe i zdrowe, jak gość dobrze podejmowany, nie zaś osowiałe i smutne, jak te które widujemy w naszych menażerjach.

Pan Ploëm posiadał także wiele ptaków. Jeden z nich zabawił mnie niezmiernie swoim talentem do naśladowania ludzkiéj mowy, który posiada w wyższym jeszcze stopniu jak papuga. Jest on trochę większy jak kos europejski, czarny jak on, dziobek i nóżki żółte; różni się tylko składem ciała i żółtemi uszkami, które nadają mu wyraz niezwykły ptakom innych krajów. Klatka jego umieszczona była w małéj odległości od stajni i podwórza, nauczył się więc doskonale podrzeźniać rżenie koni, śpiew koguta, gdakanie kur i grzechotanie turkawek, a to w taki sposób, że nadaremnie przypatrywałem się dobrze jego gardłu, byłbym przysiągł, że rżenie pochodzi ze stajni, a nie z gardła ptaka.

W okolicy tamecznéj widziałem źródło wody zamarzniętéj do kilka metrów a gotującéj się; jest tam także ogród botaniczny powierzony staraniom doktora Ploëm, gdzie znajduje się zbiór rośliny *orchides* nad któréj własnościami tyle już napracowali się naturaliści.

Z żalem musieliśmy wyjechać z tego pięknego schronienia, aby zobaczyć jeszcze największe drzewa jawańskie zwane *Liquidambar* czyli *Rassa-Malah.*

Natrafiliśmy tu także na plantacje kawy, potém na gęstwinę podobną do téj, którą przebywaliśmy zwiedzając Salak. Była to wielka massa wijących się roślin, razem spojona, gdzie dzikie banany ze swemi szerokiemi liśćmi, kropkowanemi z jednéj strony, piérwsze trzymały miejsce.



Drzewo bananowe.

Płynęliśmy dosyć długo pomiędzy falami tego szczególnego zbioru krzewów i roślin, z trudnością torując sobie drogę, kiedy jeden z przewodników zatrzymał się nagle mówiąc: „Oto jest! Co takiego zapytałem.“

— Jedno z wielkich drzew, które widać z Maga-Meudong odpowiedział i pokazał mi rodzaj wieży, na wierzchu któréj widać było liście i gałęzie, a jednak nie byłbym odgadł, że to ma być drzewo.

— To jest jeszcze małe, dodał przewodnik. Kiedy wejdziemy na górę, panowie zobaczą daleko większe.

I w saméj rzeczy niepodobnaby prawie wierzyć ogromnéj wielkości drzew, które mieliśmy przed oczami. Uważałem jednak, że wiele z nich było nadpsutych a u wierzchu całkiem suchych, mówiono mi że upał słoneczny którego znosić nie mogą, jest tego przyczyną. Wspaniały jest widok tych ogromnych kolosów, prawdziwych patryarchów lasów, a świadków zapewne bardzo odległych wieków. W téj chwili deszcz drobniutki zaczął padać i otrząsnął na nas z drzew mnóstwo małych pijawek ziemnych, które powłaziły nam za kołnierz i rękawy i zaczęły się poić w najlepsze krwią naszą, ale indjanie obecni prędko uwolnili nas od nich, pocierając ciało cytryną, wiadomo, że w Indjach owoc ten rośnie na każdém miejscu.

Powracając widzieliśmy plantacje *chiny* która zaaklimatyzowała się w Jawie na większą

pomyślność rządu holenderskiego. Daléj przewodnik pokazał nam w pniu drzewa wielkiego siedzącego robaka, i bardzo obszernie opowiadał dziwne jego przemiany. Uważałem, że malajczycy są daleko więcéj obznajmieni z historją naturalną jak nasi chłopi, znają własności wszystkich prawie roślin, naturę zwierząt i środki leczenia ich ukąszenia; prawda, że téj wiadomości używają często dla nasycenia zemsty i innych zgubnych namiętności.

W ogóle powiedzieć można, że opisy europejczyków o drapieżności zwierząt indyjskich, są o wiele przesadzone; dużo widziałem ich w czasie moich wycieczek w głąb kraju i chociaż używałem lekkich tylko sukien i obuwia, które często podarte było w kawałki, powracałem przecież zdrów i cały. Sądzę więc, że węże i skorpiony, a nawet i tygrysy, lękają się bladych twarzy europejczyków i uciekają za ich zbliżeniem. Ich jasne oczy i biała płeć czyni zapewne na nich niemiłe wrażenie. Przyzwyczaiły się patrzeć na złoconą skórę i słodkie oczy malajczyków, ocienione długiemi rzęsami, budzimy więc w nich wstręt widoczny.

Co się tyczy trucizn, w które kraj ten obfituje, mało jeszcze powiedziane było w tym względzie. Indjanie nie czynią sobie skrupułu używać ich w potrzebie, szczególniéj wolnych trucizn, które sprowadzają tylko choroby nieuleczone; sam byłem świadkiem otrucia kilku europejczyków przez krajowców. Szczególnie szkodliwie działa na płuca rodzaj sierści krótkiéj i czarnéj, która okala sęki drzewa bambusowego. Niepogoda ciągła, znowu stanęła nam na przeszkodzie w powrocie do Boghory, gdzie przybyliśmy nawskróś przemoczeni, ośmnaście godzin strawiwszy na deszczu, który zwykle sprowadza febrę.

W kilka dni potém opuściłem gościnny dom pana Grenier i śliczną willę *Amore*, a smutne jakieś przeczucie mówiło mi, że nigdy nie zobaczę już tego zacnego człowieka. W saméj rzeczy, zaledwie powróciłem do Europy, z żalem dowiedziałem się, że poczciwy Grenier został otruty jedną z tych trucizn, o których dopiéro wspominałem, a to w skutek prywatnych nieporozumień i zawiści.

Opuszczając brzegi Jawy po dwuletnim w niéj pobycie, długo spoglądałem na widnokrąg po za którym niknął w oddali ten kraj uroczy, gdzie tyle lubych doznałem wrażeń, podziwiając wdzięki natury, a tak przykrych wzruszeń na widok niedoli i ujarzmienia jego mieszkańców.

Struny i smyczek.

Nowe struny na skrzypcach Stradivaria ręki
Swój los opłakiwały tłumionemi jęki.
—Siostry! za cóż tak srogiéj doznajem katuszy,
Że kołkami z hebanu na nieczułém drewnie
Rozpięte, skoro dumny smyczek nas poruszy,
Musim pląsać na rozkaz, albo wzdychać rzewnie?...
—Tak szemrzą cztéry struny. W tém smyczek porywa
Dłoń artysty—posłuszne pod jego palcami
Zadźwiękły. Wnet melodja namiętna i żywa,
Smutna, skoczna na przemian leje się zdrojami,
I w strunach pod jéj czarem oniemiały żale,
Ich jęki przeszły w tony, płacz w melodji fale,
A ta, która się przedtem najtkliwiej skarżyła;
Rzekła:—Ty nasze męki nagradzasz sowicie!
Graj, niech się w nas przelewa geniuszu siła;
Błogosławię boleści, co mi daje życie!...

K. B.

Wiadomości Literackie.

L'histoire de l' astronomie dans ses rapports avec la religion, par Fred. de Rougemont, Paris 1865 1 vol. in 12o

Pogodzenie nauki z wiarą, oto szczytne zadanie jakie autor dopiero co przytoczonego dzieła postanowił rozwinąć. Opowiada nam w tym celu dzieje astronomji, powolne jej postępy, stosunek raz spokojny to znowu walczący z rozmaitemi przekonaniami religijnemi. W świecie pierwotnym widzimy naiwne i bezświadome prawie pomieszanie pojęć astronomicznych z pojęciami wiary. W świecie pogańskim to zamieszanie bezwzględnie doprowadziło do astrologii. Hebrajczycy wyłącznie pojmowali różnicę zachodzącą między astronomją a religją. W Grecyi pogańskiej wróżenie z gwiazd potępiała religja narodowa, lecz astrologja przetrwała upadek wielobóstwa (politeizmu) i ukazuje się jeszcze w całej pełni w wiekach średnich u chrześcjan i u wyznawców koranu.

W szesnastym wieku postęp rzeczywisty zawdzięcza nauka Kopernikowi i Galileuszowi,

których systemata znowu kościół uważa za heretyckie, lecz w końcu prawdziwa wiara odnosi tryumf, dając niestety, powód do niedowiarstwa. W ostatnich dopiero latach twórca nowoczesnéj astronomji sir W. Herschel, przyczynił się do pogodzenia stanowczego nauki z objawieniem chrześcjańskiem. W całym układzie dzieła p. Rougemont, przebija się dokładna i rozległa znajomość traktowanego przedmiotu, obok pięknego i potoczystego wykładu.

Le culte de la famille. Jest to życie Chrystusa ułożone w sposobie medytacji na każdy dzień roku. Pożyteczności podobnéj książki w każdéj rodzinie zalecać nie potrzeba. Konferencje sławnego kaznodziei francuzkiego ojca Feliksa pod tytułem: *Jésus Christ et la critique nouvelle* będą zajmującém czytaniem dla poważnych umysłów zamiłowanych w religijnych przedmiotach.

Angielskie powieści wydania Tauchnitz'a. Wydania te taniością swą wielką robią przysługę dla ogółu, jeden tom bowiem pół rubla kosztuje, trzeba tylko poczekać nieco, skoro pojawi się jaka nowa powieść, za nim w ten sposób przedrukowaną zostanie a za to nabywa się ją za połowę ceny. Obecnie są już w Warszawie w tém wydaniu następujące nowości:

Lady Georgjany Fullerton: *Too strange noto be true* tomów 2. *Thon Law* Ainsworta t. 2. Trollopa *The small Htouse Allington* t. 3. Ch. Reade: *The cloister and the hearth* 2 t. Tegóż *Hard Cash* 3 t. Wood: *Trevlyn Hold* i *Sense and Sensibility* przez J. Austen.

LISTY Z PODRÓŻY.

VII.

(Ciąg dalszy).

Doki londyńskie dają wyobrażenie rozległego handlu jaki miasto prowadzi. Gdy Sekwanna w Paryżu, wystrojona ocembrowaniem, najwspanialsze domy, najświetniejsze tłumy widzi na swych brzegach, tu przeciwnie myślano tylko aby zrobić port wygodny, więc pokopano wśród miasta jeziora służące za przystań dla setek statków różnéj wielkości. Nad brzegami uwijają się majtkowie różnych narodów, ludzie wyciągający ze statków towary, lub je ładujący. Potrącasz się o beczki, zawadzasz o nosze i wózki ręczne, handel nic tylko handel pulsuje w tym natłoku. I nas przypatrujących się zapytano zaraz czy potrzebujemy okręt nająć i dokąd? Towary przybywające ze wszystkich części świata chłoną zaraz piwnice jak katakomby ciągnące się po pod magazynami, które brzeg okrążają wieńcem ścieśnionym. Zwiedzać je można otrzymawszy bilet wejścia. W składach win mają zwyczaj częstować winem najróżnorodniejszych gatunków, co może sprawić nie małe odurzenie w głowie i uszczęśliwić tych co to lubią sobie podochocić.

Po Tamizie kursują statki dla ułatwienia komunikacji, a mniéj jeszcze niż omnibusy lądowe kosztują. Z nich najlepiéj okiem objąć można te lasy masztów, te domy dziwaczne, z których każdy jest składem, każdy przystanią. Czasem też oko spocznie na okazalszym budynku, z inném niż handlowe przeznaczeniem, jednak najczęściéj ma on tę barwę żałobną, o któréj, mówiąc o kościele św. Pawła, wspominałam.

Okrzyczany tunel pod Tamizą nie zrobił na mnie wrażenia jakiegom się spodziewała. W cichości myśli zastanowiwszy się nad tém dziełem, podziw bierze nad pokonanemi trudnościami. Pięć razy zalewała go woda, aż nareszcie 1843 r. ostatecznie dokonany został. Lecz o tém wszystkiém nie bardzo się pamięta wszedłszy do niskiego parterowego budynku, w którym się składa opłata za przechód (1 penny). Następnie schodzi się po obszernych schodach biało wymalowanego wnętrza. Na samym dole pokazują kosmoramę czy dioramę i niewidomy wygrywa na katarynce. Na dnie rzeki znajdujesz więc to samo, co na ulicznym placu. Wchodzisz nareszcie w długą, kolistą galerję biało brudną, oświeconą gazem za mało, żeby wyglądała świetnie, za nadto, żeby miała robić wrażenie grozy. Z jednego boku są sklepiki w których przedają najpośledniejsze wyroby jakie znaleść można w całym Londynie, zachęcając podróżnych aby je kupili na pamiątkę.

Jeździliśmy tą okrzyczaną zdawna koleją żelazną po *nad dachami*, lecz i tu nie małe było rozczarowanie!... żadnych nadzwyczajnych wrażeń, a tylko dym *z piérwszéj ręki* czyli raczéj z piérwszéj warstwy, buchał na nas z każdego komina, co, dodawszy do tego różne wonie kuchennych przyrządów, wcale uroczém nie było. Lecz co Londyn ma prawdziwie pięknego, to parki swoje. Wilgoć, mgły, często przyćmione chmurami słońce sprawiają że roślinność nadzwyczaj bujna i świeża. Drzewa olbrzymie, trawniki niezrównanéj piękności. Hyde Park, w połączeniu z ogrodem Kensington najpiękniejszym mi się wydał, może dla tego, że pełno powabnych amazonek harcuje po nim na zgrabnych rumakach. Znany jest gust anglików do konnéj jazdy, to też ładnych koni napatrzeć się u nich można. Szeregi po-

jazdów ciągnących po Hyde parku po nad wodą i tłumy jeźdźców obojéj płci, dające się tam widzieć o pewnych godzinach, miały we mnie, ile razy tylko czas pozwolił, widza ciekawego. Przy parku St. James jest pałac Buckingham, w którym zwykle zamieszkuje rodzina królewska. Trafiło mi się tam przechodzić gdy właśnie księżniczka Helena prezydowała za matkę na oficjalném przyjęciu i zabawiła mnie pompa z jaką zajeżdżały wielkich panów pojazdy, jakieś całe napuszone oficjalną miną, o jaskrawych kolorach zapewne według tarczy herbowéj. Jak np. żółty panował, to już tak wszystko żółte w karecie, w ubraniu kozła, stangreta i upudrowanych lokai z trójgraniastemi kapeluszami, że chybaby i konie podobne dobrano, gdyby się takie znajdowały na świecie. Karety kształtem swoim przypominały te, jakie w muzeach pokazują za pieniądze.

Jest nieopodal Buckinghamu dawny pałac królewski St. James, zbudowany za Henryka VIII, który ma bardziéj w sobie grozę fortecy lub ponurość klasztoru, niż wdzięk mieszkania możnych władców ziemi; królowa téż w nim zwykle nie przebywa. Regent Park mieści w obrębie swoim sławny ogród zoologiczny, przewyższający paryzki doborem niektórych okazów. Między innemi są tam foki żywe, jakich nie ma w Paryżu, i znakomity zbiór najrożnorodniejszych ptaków, pomiędzy któremi odznaczają się dzioborożce (Buceros).

Miszkanie małp, które tyle zawsze widzów zwabiają do siebie, urządzone szczęśliwym pomysłem w cieplarni. Pomiędzy innemi odznacza się orang-utang, lecz niestety! wiszą tam liczne przestrogi, smutnie przypominające wielką liczbę przemysłowców londyńskich, lubiących zaglądać do cudzej kieszeni: „Strzeżcie się złodziei kieszonkowych!“

Wiadomo jak ogrodnictwo wysoko stoi w Anglii (1). Zwiedzaliśmy tak zwany Kiu-garden parę stacji kolei żelaznéj za Londynem leżący, gdzie przepyszne cieplarnie mieszczą w sobie palmy i inne stref gorących drzewa. Przytem w osobnym budynku, nauczający dla ludzi fachowych zbiór drzew zagranicznych w przecięciu pnia suchego; oprócz tego muzeum, gdzie różne zajmujące przedmioty stron odległych zebrano. O trawnikach ani mówić, gdyż te we wszystkich angielskich ogrodach rzadkiéj piękności, chociaż po nich zawsze i wszędzie chodzić wolno.

Jest niedawno zawiązane w Londynie towarzystwo ogrodnicze, które ma zakład przepyszny, prowadzony w sposób wzorowy. Miało ono za prezesa księcia Alberta, dziś podobno książe Walji go zastępuje. Członków jest kilka tysięcy; a każdy płaci coś około 200 złp. ale za to co za przywileje!... Wszystkie pisma perjodyczne Anglji, które można przychodzić przez cały dzień czytać w prześlicznie urządzonéj czytelni (nb. i kobiéty czytają), najrozmaitsze nasiona i krzewy, które ma się taniéj od innych, przytem możność przepędzenia tyle czasu ile się podoba, w prześlicznym ogrodzie i wchodzenia doń bezpłatnie w czasie odbywania się tam zabaw, które czasem dość drogo inną publiczność, bo dziesięć szyllingów (tojest 25 złp.) kosztują. Pewien z członków chciał użyć swego prawa i wprowadzić nas na jedno ze świetniejszych takich zgromadzeń, gdzie miał być ks. Walji, lecz trzeba było robić toalety prawie balowe, w jakie nasze szczupłe tłomoczki wcale zaopatrzone nie były. Dodam tylko słów kilka o pięknéj a olbrzymiej sali ubranéj w zagraniczne krzewy i kwiaty, wśród których marmurowe posągi bieleją. Tam zwykle piją herbatę przy gazowém oświetleniu które wieńcem obiega salę, jasne do koła rzucając promienie. Obok są galerje, gdzie za opłatą wszyscy fabrykanci robiący różne przedmioty do ozdoby ogrodów, jak ławki, altany, koszyki itp. wystawiają takowe do obejrzenia. Tu więc przychodzi po radę lub sprawunki kto tylko chce ogród zakładać lub ozdobić.

W końcu rozległego ogrodu jest budowla do hodowli łososi, o które bardzo dbają w Anglji. Oglądając to wszystko, pomyślałam, jakby stowarzyszenie takie było dobroczynném u nas, gdzie ogrody tak zaniedbane, a owoce mimo dobrego gruntu, hodują się nieraz takie, jakich nigdzie indziej nie dotknęłyby się usta człowiecze.

Niedaleko ztamtąd jest muzeum Kensington, mieszczące wiele zajmujących przedmiotów sztuki i kunsztu. Odlewy rzeźb, galerja obrazów, dawne pojazdy dworskie, klejnoty, kryształy itp. co szczególniej przy wielkiém oświetleniu wieczornémwspaniale wygląda z ganku olbrzymiej piętrowej sali. Tuż obok jest sala nieustającéj wystawy przedmiotów, które otrzymały patent wynalazku wraz z portretami tych, co wpadli na piérwszy pomysł często obfity w skutki nieobliczonéj doniosłości. Przypatrywałam się z zajęciem wizerunkowi Stefensona będącym przy dość jeszcze niezgrabnej lekomotywie, którą on urządził. Teatrów ma Londyn 16, z których opera włoska, tak jak w Paryżu, przez świat możnych uczęszczana, ale różnych innych widowisk tak w godzinach dnia, jak i wieczoru jest pełno. Do ciekawszych należą figury woskowe pani Tussot. Kika sal zapełnionych postaciami historycznemi robionemi według portretów, zajmują bardzo. Tu Marja Stuart między Knoxem i Kalwinem, którzy jej wykładają swe zasady, tam nieszczęśliwy Ludwik XVI z rodziną. Henryk VIII skopjowany wybornie. Postać dość otyła i ciężka, uwieńczona twarzą z nieco rudawym zarostem, z jakiemś dziko obojętném spojrzeniem, dającém odgadnąć, że ten człowiek mógł bez wzruszenia rozkazywać czyny najwyższego okrucieństwa i nie był zapewne bardziej zmącony wyraz jego fizognomji, gdy

(1) Zapewniłam téż sobie w tym przedmiocie korrespondencje do Kółka Domowego.

na wzgórzu parku Richmond wyglądał pokazania się rakiety, która miała być puszczona z Tower w chwili, gdy głowa Anny Boleyn spadała pod katowskim mieczem. Tylko niecierpliwość musiała wywoływać dzikie błyski z jego oczu, pilno mu bowiem było połączyć się z Joanną Seymur, ku której go w tej chwili namiętność ciągnęła.

Około jego figury postawiono niedorosłego syna Edwarda i wszystkie sześć żon ugrupowano. W Hampton-court, pałacu królewskim o godzinę drogi koleją żelazną od Londynu będącym, wśród licznych portretów królów i panów angielskich i jego się znajdują, i tam mogłem wystudiować szczególny wyraz barbarzyńskiej obojętności jego oblicza, który mi się głęboko wyrył w pamięci. We wspomnionym zbiorze pani Tussot są także prawie wszyscy dzisiaj panujący w Europie monarchowie wraz z rodzinami; jest Szekspir i Wolter, jest Linkoln i Garibaldi, są różni uczeni europejscy ustawieni lub usadowieni jakby do rozmowy, a często w tak naturalnéj postaci, że jednego z nich, nastąpiwszy mu przypadkiem na nogę, towarzysz nasz zaczął przepraszać, biorąc go za żywego. Za osobną dopłatą wchodzi się jeszcze do dwóch sal, gdzie są w znacznéj liczbie znani ze słynnych procesów mordercy lub truciciele. Niezaniedbano już tam umieścić zabójcy Lincolna. Widok tych postaci ludzi, którzy wszyscy gwałtownych dopuścili się czynów i zginęli na rusztowaniu, bolesne sprawia wrażenie. Dodajmy do tego, że obok stoi kompletny model gilotyny, maski zdjęte po śmierci Ludwika XVI, jego żony Robespiera i innych; liczne litografje przedstawiają tortury i kary używane niegdyś przez różne narody, a po niżéj jakby w piwnicy, siedzi w celce z przerażającą prawdą odwzorowanéj, wyschły, wybladły, raczéj do ruszającego się kościotrupa podobny, za nogę i rękę do ściany przykuty, więzień Bastylji!... Obrazy te, serce głębokim smutkiem przejmują, przywodząc na pamięć zboczenia natury człowieka i te męki rozliczne które są jego udziałem...

Tak zwane *Britisch Museum* jest pewno najznakomitszym w Europie tego rodzaju zbiorem. Dzieli się na 4 działy: Etnograficzny, starożytny, historji naturalnéj i bibliotekę. Ta ostatnia nie tak liczna ile bogata w rzadkie dzieła i rękopisma, szczególniéj azjatyckie. Pod szkłem przechowują oryginał wielkiéj Karty (magna Charta), oryginał dekretu śmierci Karola I, przytém mnóstwo autografów szacownych. Ale co tam rzeczywiście godne widzenia i naśladowania, to urządzenie ogólnéj czytelni. Wysoko sklepiona rotunda, którą dwadzieścia okien przerzyna, malowana jest błękitno; łagodne zatém światło każdy punkt ogromnéj sali oświeca. W pośród niéj stół bibliotekarzy, od którego jak promienie koła, rozchodzą się aż do samego obwodu sali, długie stoły dla czytających. Mają one kształt biórek, tak, że do każdego miejsca należy szafeczka, która służy zajmującéj je osobie do przechowania do następnego dnia książek i notatek. Aby módz tam przychodzić czytać, trzeba być przez kogo znanego zaleconym, wtedy można już codzień powracać na swoje miejsce i chować u siebie klucz od szafki. Widziałam tam dosyć kobiét. Chcący zwiedzić czytelnię, dostają na to bilet bezpłatny i wprowadzani bywają tylko do balustrady przy drzwiach wchodowych, zkąd rozejrzyć się mogą w milczeniu. W około nich panuje cisza wzorowa, czasem tylko szmerem przewróconéj kartki przerwana, bo nawet odgłosu stąpań nie słychać, gdyż dla ich stłumienia cała posadzka skórą bawolą wybita. Ta poważna cichość będąca wyrazem poszanowania dla nauki zazdrość we mnie wzbudziła. Niestety! nie we wszystkich bibliotekach to tak bywa....

Dział historji naturalny znakomity!... pojąć to łatwo pomyślawszy o rozległych stosunkach Anglików ze wszystkiemi częściami świata. Najwięcéj mnie zajęły znane tylko dotąd z rysunków wykopaliska zwierząt przedpotopowych które kilka sal zajmują. Olbrzymi Megatherium, Mastodonty dwa także zestawione w całości, jeleń również skamieniały i nieznanych dziś rozmiarów, przytem pojedyncze szczęki, zęby, rogi itp. odciski ichtyosaurusów, pterodactylów i cały ten poczet tak odrębnych istot zaledwie znanego z domysłów świata. Jest także odcisk człowieka kopalnego (tak przynajmniej napisano pod spodem) przywieziony z Guadelupy (1). Ciekawy jest tam także aerolit kilkaset funtów ważący. Słowem jest to bezwątpienia najbogatszy gabinet historji naturalnéj w świecie.

Dział starożytnych rzeźb i budowli obejmuje pełno przedmiotów egipskich, znakomite rzeźby greckie, odłamy i wzory architektury tego narodu. Co do działu etnograficzego, temu, ile mi się zdaje, berlińskie muzeum dorównało. Różne naczynia starożytne wielkiéj wagi dla archeologów, kilka sal zajmują. W ogóle ilość tych sal na kilku piętrach jest tak wielka i tak są napełnione, że po dwukrotnéj bytności, zaledwie pobieżnego o całém muzeum nabrałam wyobrażenia. *(dok. nast.)*

---

(1) Cuvier utrzymywał, że nie może być człowieka kopalnego, gdyż on nie żył przed temi wielkiemi wstrząśnieniami i zalewami wód, które zwą potopem, lecz dzisiejsi uczeni twierdzą, że to jest artykuł wiary naukowéj który potrzebuje przejrzenia. P. Boucher de Perthes napisał ważne dzieło p. t. *Człowiek przedpotowy*, gdzie między innemi dowodami przytacza znalezioną w pokładach napływowych szczękę ludzką 28 Marca 1863 r. Na to odzywa się sławny paleontolog d'Archiac: „Jest to tylko jeden fakt więcéj potwierdzający dowody przez samą swą ilość ważniejsze.“